ZESŁANIE i GUŁAG w ROSYJSKIM ZWIĄZKU SOWIECKIM

Streszczenie książki: “Freedom Lost and Found”.

Wspomnienia z lat 1940-1948 spisane przez Romana Przysiężniaka z pomocą siótr: Heleny, Janiny i Ireny. Opis losów rodziny Przysiężniaków: Jana, Stasi oraz ich dzieci, Heleny, Ireny, Janiny i Romana.

O tak, pamiętamy bardzo dokładnie ten dzień, 10 lutego 1940 roku o drugiej nad ranem, grupa agentów NKWD, rosyjskiej milicji wojskowej wraz z zaciekawionymi sąsiadami Białorusinami, otoczyła nasze gospodarstwo w Osada Planta, położone około 20 km na południe od Baranowicz. Kiedy ojciec odmówił otworzenia drzwi o tak wczesnej godzinie, milicjanci najpierw rozbili duże okno, następnie wywalili wzmocnione drzwi, po czym wtargnęli do środka krzycząc i machając karabinami z bagnetami skierowanymi w nas.

„Ręce do góry ! Oddajcie broń !“ – wrzeszczeli ustawiając w szeregu, na wpół zbudzoną, przerażoną rodzinę w piżamach w dużej kuchni, kierując bagnety na nas wszystkich, na rodziców, dziadków (ze strony mamy) oraz na czwórkę dzieci: Helenę, Janinę, Irenę i Romana, którzy wtedy mieli 17, 14, 11 i 9 lat.

Mimo stanowczych zapewnień ojca tłumaczącego, że nie ma żadnej broni, ani pistoletów, ani karabinów, zabrali go do stodoły i innych budynków gospodarczych w poszukiwaniu broni. W międzyczasie staliśmy ciągle w szeregu w lodowatej kuchni, z rozbitym oknem i wywalonymi drzwiami.

Czekając w pełnym przerażeniu, po jakimś czasie zobaczyliśmy ojca wracającego z milicjantami, którzy wydawali się zadowoleni z faktu, że nie było żadnej broni ukrytej na terenie naszego gospodarstwa. Nasza mama, Stasia, przyjęła z wielką ulgą powrót ojca , bo w podobnych wypadkach w sąsiedstwie, człowiek, którego wyprowadzano w ten sposób z domu, często znikał i nigdy się już o nim nie słyszało.

Następnie, dowódca grupy milicjantów odczytał rozkaz komitetu centralnego ZSSR informujący, że rodzina Przysiężniaków zostanie „przeniesiona do innej prowincji (‘oblasti’) kraju“. Rodzice wiedzieli z historii, że to oznacza Syberię. Dowódca dodał chwilę później, że rodzice mamy mają zostać na gospodarstwie. Następnie kazał naszym rodzicom spakować się tak, żeby byli gotowi do wyjazdu za dwie godziny – po 20 latach życia i ciężkiej pracy na gospodarstwie.

Po pierwszym silnym szoku, rodzice, Helena i Janina oraz dziadkowie zaczęli gromadzić najpotrzebniejsze ubrania zimowe, trochę jedzenia i trochę osobistych rzeczy.

11- letnia Irena oraz 9-letni Roman byli oszołomieni tą sytuacją, nie rozumiejąc dokładnie, co się dzieje, ale starali się słuchać poleceń babci i zbierać rzeczy bez pytań. Każdy członek rodziny był pilnowany w czasie pakowania przez przynajmniej jednego żołnierza z bagnetem. Około 6 rano, pomocnik dowódcy krzyknął, że mamy załadować na sanie rzeczy, które zdołaliśmy spakować.

Moment naszego wyjazdu był bardzo dramatyczny. Babcia Anna wzięła w ramiona dwoje najmłodszych dzieci, podczas gdy jej córka, nasza mama, usiłowała ją uściskać. Jan, nasz ojciec wziął w ramiona Józefa, swojego ojczyma po raz pierwszy od wielu lat. Helena i Janina sciskały babcię Anne i dziadka Józefa, by pożegnać się z nimi na zawsze.

Tym rozdzierającym serca emocjom towarzyszyły wylewne płacze i zdesperowane szlochy. Po tym rozpaczliwym pożegnaniu z dziadkami, czwórka dzieci wraz z rodzicami opuściła rodzinny dom i gospodarstwo w Osadzie Planta. W momencie, kiedy trzeba już było jechać, nasza mama, Stasia, nie trzymała się na nogach i trzeba było pomocy Jana i Heleny, by doprowadzić ją do sań. Na saniach, poza rosyjskim woźnicą, było miejsce tylko dla dwojga najmłodszych dzieci, Ireny i Romana, naszej mamy i tobołków. Pozostali członkowie rodziny musieli iść. Byliśmy eskortowani i pilnowani przez żołnierzy na koniach. Po około 6 godzinach dotarliśmy do najbliższej, małej stacji kolejowej w Leśnej. Po drodze, spotkaliśmy wielu innych mieszkańców z Osady Planta, eskortowanych w tę sama stronę pod wrogim okiem milicjantów.

W Leśnej żołnierze wsadzili nas do jednego z 50 wagonów dla bydła z dwupoziomowymi brudnymi drewnianymi pryczami, gdzie na każdego przypadało ok. dwa metry na jeden. Było nas okolo 55 zesłańców w jednym wagonie. Jako toaletę mieliśmy drewniane koryto prowadzące do otworu na zewnątrz. Na środku wagonu stał wybrzuszony jak garnek piec na drewno, który miał służyć jako kuchnia i ogrzewanie. Było to bardzo okrutne przejście z domowego komfortu do więziennego, bydlęcego wagonu z tak prymitywnymi warunkami.

Każdy wagon był pilnowany przez kilku uzbrojonych żołnierzy. Po 4 dniach oczekiwania na stacji w Leśnej na inne ofiary deportacji, drzwi wagonów zatrzaśnięto i zablokowano od zewnątrz i pociąg wyruszył w kierunku na wschód. W chwili gdy po 2 godzinach jazdy pociąg minął granicę i wjechał do Związku Radzieckiego, wiele kobiet w naszym wagonie zaczęło płakać, powstał chaos zawodzenia i lamentów.

Podróż trwała 3 tygodnie. Dostawaliśmy od czasu do czasu bardzo wodnistą zupę oraz pozwalano nam wysiąść na postojach, kiedy pociąg zatrzymywał się na jakiejś opuszczonej bocznicy bez żadnych domów na horyzoncie. Byliśmy stale pod intensywnym nadzorem strażników. Mieliśmy trochę suchego jedzenia, które nas trzymało przy życiu. Topiliśmy śnieg na wodę, a drewno do palenia trzeba było szukać porywczo na przystanach bocznych. Po kilku dniach życia w tych warunkach, pluskwy i wszy wylazły z brudnych pryczy i torturowały nas 24 godziny na dobę. Dwie osoby zmarły w wagonie, nie mając dostępu do żadnej opieki lekarskiej ani lekarstw. Kiedy pociąg dotarł do Kotłasu nad rzeką Severnaya Dvina, kazano nam wysiadać i wsiąść do sani zaprzężonych w konie, które stały wzdłuż toru pod bardzo ścisłym nadzorem strażników. Kotłas jest położony około 500 km na północny zachód od Archangielska.

Przez około 7 następnych dni jechaliśmy saniami przez białe zamarznięte i zamiecione wiatrem przestrzenie na Severnaya Dvina do Ust'Vayenga. Na noc tłoczyli nas w brudnych i śmierdzących salach kołchozów. Z Ust'Vayenga, karawana traktorów zawiozła nas do obozu pracy,'gulag' w lesie, w Kamionce około 250 km na południe od Archangielska.

W Kamionce, wciśnięli nas do długiego baraku zrobionego z okrąglaków z jednym wejściem, dwoma piecami w środku i czterema mieszkaniami z drewnianymi pryczami

po obu stronach, oddzielonymi przegrodami z desek na ¾ wysokości. Każda rodzina miała jedno mieszkanie, ok. 3,5 x 3,5 m, niezależnie od ilości osób.

Piec służył zarówno do grzania jak i gotowania. Prycze były pełne pluskiew, pcheł i wszy. Było tam około 100 polskich zesłanych rodzin, co razem z dziećmi stanowiło ok. 350 osób.

Nasz ojciec, musiał wycinać i oczyszczać z gałęzi drzewa w lesie w głębokim śniegu.

Helena przewoziła kłody drzewa na saniach ciągniętych przez konia. Codziennie o świcie, mimo wielkiego mrozu, musieli oboje dotrzeć do odległych miejsc pracy i wracali po zachodzie słońca zmarznięci, w przepoconych ubraniach. Nie mieli żadnego doświadczenia w tej pracy, a narzędzia, które im dali były bardzo nieodpowiednie. Nie zważając na to bezwzględni strażnicy „stachanowcy“ poganiali ich, aby byli bardziej wydajni. Ojciec odmroził rekę, jak wielu innych, którzy odmrażali ręce lub stopy z braku odpowiednich butów i ubrań. Janina, razem z naszą mama musiała pracować przy sprzątaniu obozu.

Irena i Roman, jak wszyskie dzieci od 14 lat i poniżej, musialy chodzić do rosyjskiej komunistycznej szkoły, uczyć się rosyjskiego i słuchać propagandy komunistycznej.

Żywność, którą mogliśmy kupić w obozie za bardzo skromną zaplatę, ledwo wystarczała na przeżycie przy tej niewolniczej pracy w lesie. Wielu ludzi chorowało, ale tylko bardzo wysoka gorączka pozwalała na zwolnienie od pracy. Wiele osób zmarło.

Podczas krótkiego syberyjskiego lata ojciec, Helena i Janina musieli pracować w porcie w Ust-Vayenga, około 4 godzin marszu od Kamionki. Ojciec pracował w fabryce cegieł, podczas gdy Helena i Janina, przy spławie drzewa na rzece. Musieli mieszkać w dużym, brudnym baraku, zapchlonym, pełnym pluskiew i wszy. Rowniez wszyscy musieli wysłuchiwać propagandy komunistycznej .

Pewnego dnia w sierpniu 1941 roku, po 18 miesiącach spędzonych w gułagu w Kamionce i w Ust-Vayenga otrzymaliśmy nadzwyczajną wiadomość o amnestji po układzie Sikorski-Majski. Polacy deportowani do Związku Radzieckiego stawali się ludźmi wolnymi i wszyscy mężczyźni zdolni do walki byli werbowani do polskiej armii, aby walczyć przeciw inwazji Niemieckiej. Polska armia powstawała w Uzbekistanie, około 6000 km na południowy wschód od Kamionki.

Pomimo wielkich obietnic, rosyjskie władze niewiele pomagały w przedostaniu się do Uzbekistanu. Ojciec i inni zesłańcy musieli sami zorganizować przewóz, na saniach własnej roboty, z obozu Kamionka do portu w Ust-Vayenga, skąd udało nam się dotrzeć statkiem do najbliższej stacji kolejowej w Kotłasie. Tam, po przekupieniu szefa stacji, dostaliśmy się do pociągu do Uzbekistanu. Był to taki sam typ pociągu dla bydła, jak ten, którym wywiezli nas z Polski do Kotłasu, w lutym 1940 roku. Znowu musieliśmy wcisnąć się do wagonu, razem z 60 innymi osobami i znowu mieliśmy około jeden metr na dwa na pryczy na osobę i drewniane koryto jako ubikację.

Pociąg wyjechał z Kotłasu z początkiem października 1941 roku i po 9 tygodniach dojechał do Taszkientu w Uzbekistanie. Normalny pociąg pasażerski jechałby wtedy około 10 dni, ale nasz pociąg był uznany jako najmniej ważny pociąg towarowy. Często

zatrzymywał się na pustkowiu i stał tam parę dni bez możliwości znalezienia czegokolwiek do jedzenia, czy drewna na opał do ogrzania się. Wiele osób umierało z głodu i chorób, ich ciała przenoszono na tylny pomost ostatniego wagonu, skąd zrzucano je w czasie jazdy na pożarcie dzikim zwierzętom. Nasz pociąg nazwano „pociągiem śmierci". Trzeba zaznaczyć, że był to okres wojny, kiedy Niemcy oblegali Leningrad i parli na Moskwę.

Wielu mężczyzn zatrzymywało się w miastach próbując zdobyć coś do jedzenia; frymarcząc, kradnąc, czy szukając resztek żywności na wysypiskach śmieci, bo nie było możliwości kupienia czegokolwiek za pieniądze. Później jechali na gapę pociągami pasażerskimi, by dogonić swój pociąg i dołączyć do rodzin. Niektórzy nigdy nie dogonili, inni zamarzli, zostali pobici, albo oskarżeni o szpiegostwo dla Niemców i aresztowani przez NKWD.

Pewnego dnia, nasz ojciec dogonił nas po takim wypadzie, cały posiniaczony, przemarznięty i chory na zapalenie płuc. Oskarżono go, że był szpiegiem niemieckim. Agent NKWD zepchnął go z szybko jadącego pociągu. Zmarł 2 dni później, 18 października 1941 roku. Jego ciało zostało zabrane na pomost ostatniego wagonu. W tym momencie nasza rodzina straciła ojca, męża i jedyną osobę, która zapewniała nam pożywienie.

Helena razem z mamą wzięły te obowiązki na siebie. Helenie udało się wymienić zwój materiału na jedzenie i pieniądze. Zdołała też wymienić trochę srebra stołowego, które nasza mama jakimś cudem przechowała.

Kiedy nasz pociąg śmierci dojechał do Taszkientu, 9 tygodni po wyjezdzie z Kotłasu, z 60 osób, przeżyło tylko 37. W Taszkiencie, mężczyźni, którzy przeżyli, zostali wcieleni do armii polskiej. Ich rodziny wysłano do obozów w pobliżu Bouchary i Samarkandy, gdzie było już polskie przedstawicielstwo i gdzie traktowano ich z pewnymi względami.

Natomiast rodziny bez mężczyzn zdolnych do służby wojskowej, jak nasza pozbawiona ojca, który zmarł 7 tygodni wcześniej, zostały wysłane do pracy w kołchozach, przeważnie w Uzbekistanie. Znaleźliśmy się w tej grupie. Nie wiedzieliśmy wtedy, jak długo tam zostaniemy i co będzie z nami później.

Tak więc po odjeździe rodzin wojskowych i przeniesieniu kilku innych „nie wojskowych rodzin" do naszego wagonu, znaleźliśmy się znowu w tym samym przeklętym pociągu w drodze do miejscowości Osh w Kirgistanie, blisko granicy z Uzbekistanem. Ta podróż trwała około tygodnia.

Z Osh, zostaliśmy przewiezieni przez Uzbeków dwukołowymi wozami „arbas", ciągniętymi przez osły. Dzień później w Boże Narodzenie 1941 roku, dotarliśmy do kołchozu w Uzbekistanie. Niewielu Uzbeków mogło się porozumieć po rosyjsku. Dali nam małą, opuszczoną glinianą chatę z podziurawionym dachem, brudną, pustą, bez żadnych mebli, ale przynajmniej bez robactwa. Przynieśli nam też trochę „lepioszki" i „kipiatok" czyli przaśne placki i herbatę na powitanie. I to był nasz cały posiłek świąteczny. Zostało nam więc żucie naszego suchego jedzenia jako danie wigilijne. Uzbecy nawet nie wiedzieli, że jest Boże Narodzenie.

Zimą, nasza mama, razem z Heleną i Janiną, zajmowały się zmiataniem śniegu z płaskich dachów uzbeckich chat zbudowanych z gliny i słomy. Przeżywaliśmy dzięki naszym skromnym rezerwom jedzenia, od czasu do czasu dawano nam z litości jakieś resztki albo podkradaliśmy z kołchozowego skladu kawałki makuchów, sprasowanych wytłoków ziarna przeznaczonych do żywienia koni.

Uzbeccy nadzorcy zapisywali godziny pracy, ale kołchoz mogłby zapłacić tylko w jesieni, kiedy otrzymałby pieniądze, to znaczy za ok.8 miesięcy. Musieliśmy czekać tam na zapłatę prawie do konca naszego pobytu. W konsekwencji byliśmy zagłodzeni i nasze przeżycie zależało od znalezionych okruchów jedzenia i resztek, które czasami mieliśmy szczęście znaleźć; stale towarzyszył nam straszny głód i marzyliśmy, żeby móc kiedyś jeszcze zjeść kawałek chleba i wreszcie nie być głodnym. Janina i Irena robiły na drutach skarpetki i rękawiczki z owczej wełny, którą mieli Uzbecy, za co dostawaliśmy trochę jedzenia na przeżycie.

Wczesną wiosną wywoziliśmy z uzbeckich stodół obornik od krów i koni na odległe pola. Później ręcznie przekopywaliśmy pola na bawełnę – to bardzo ciężka praca.

W lecie było przygotowanie półek na gałęzie morwy dla jedwabników, ale ciągle nie było pieniędzy na zapłatę. Irena i Roman paśli uzbeckie krowy wzdłusz pól ryżowych, za co dostawali jeden posiłek dziennie, a czasem aż dwa. Poza tym mogliśmy zbierać bardzo pożywne owoce morwowe i korzenie warzyw, których Ubecy nie zdołali wykopać. Zbieralismy też różne dziko rosnące jadalne ziela. Nasza mama znała sposób na sprawdzenie każdej trawki lub chwastu, by osądzić czy są trujące, czy nadają się do spożycia.

Po kilku miesiącach zaczęliśmy się zastanawiać, czy ktoś z delegacji polskiej jeszcze o nas pamięta; nie mieliśmy żadnej możliwości, żeby to sprawdzić. Wreszcie w sierpniu 1942 roku, po 8 miesiącach spędzonych w Uzbekistanie, pojawiła się u nas pani z delegacji polskiej. Oznajmiła nam, że mamy możliwość i środki transportu, aby opuścić Uzbekistan i Związek Radziecki. Trudno nam było w to uwierzyć.

Tak wiec różnymi środkami transportu (pociągami, autobusami, wozami konnymi lub na piechotę) dotarliśmy z początkiem września 1942 roku do portu w Krasnovodsku (obecnie Turkmenbashi) położonego w Związku Radzieckim nad morzem Kaspijskim. Tam skierowano nas na ogromnie zatłoczony statek, który nas dowiózł przez morze Kaspijskie do Pahlevi w Persji (obecnie Bandar-e Anzali w Iranie). Statek o mało nie zatonął, tak był przeładowany. Kilku zmarlo w czasie tej podrozy; ich ciała zrzucono ze statku do Morza Kaspijskiego. Osobom, które miały gorączkę, Rosjanie nie pozwalali wsiadać ani do pociągu ani na statek.

My, którzy przeżyliśmy odczuliśmy wielka ulgę wyjeżdżając ze Związku Radzieckiego, gdzie przeszliśmy nasza gehennę. Byliśmy odtąd pod opieką aliantów i polskich przedstawicieli jak również Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Jednakże w obozach dla uchodźców w Persji (Iran) ciągle jeszcze umierało wiele osób wyczerpanych tym, co przeżyli. Szczególnie dotyczyło to dorosłych. My straciliśmy mamę, która zmarła w listopadzie 1942 roku w polowym szpitalu na pustyni, koło Teheranu. Bardzo to nas przygnębiło.

Po przejściu przez 3 kolejne obozy uchodźców w Iranie, zostaliśmy przewiezieni statkiem z Abadan (w Iraku) do Karachi, w Indiach i do Beira w Mozambiku. W Beira wsiedliśmy do pociągu, który nas dowiózł w marcu 1943 roku, do Rusape w Południowej Rodezji (obecnie Zimbabwe) do bardziej trwałego, dobrze zorganizowanego obozu dla polskich uchodźców. Ta podróż do Rusape była niesamowicie przyjemna. Bez uzbrojonych strażników, w ciepłym klimacie, z jedzeniem, ubraniami i opieką lekarską dla wszystkich – poczuliśmy się jak w niebie.

Ale po 5.6 lat w Rodezji i koniec wojny, musielismy myśleć:”dokąd teraz?”

Jeden z naszych wujów, Aleksander, który był w polskiej armii, dostał wiadomości o nas przez znajomego z Czerwonego Krzyża. Skontaktował się z bratem, naszym drugim wujem, Stanisławem i jego żoną Leosią, którzy wyemigrowali do Kanady w 1921 r. Bez chwili wahania wuj Stanisław i jego żona zaprosili nas do siebie do Toronto.